

[fragment utworu "St. Louis Blues" – Lesław Lic Jazz Ensemble]

JACEK WRÓBLEWSKI: **Dzień dobry, naszym gościem jest dzisiaj Lesław Lic: klarnecista, organista, weteran jazzu. Niestety wiek, stan zdrowia, naszego gościa oraz epidemia spowodował, iż nie mógł wystąpić przed kamerą, ale zgodził się porozmawiać przez telefon. Chwileczkę porozmawiać, te 20 minut o pańskiej historii, pańskim życiu muzycznym...**

LESŁAW LIC: Do dyspozycji.

JACEK WRÓBLEWSKI: **...dawnym. Chciałbym tak zacząć, może od tego, że pan należy do tego najstarszego pokolenia, które zaczynało jeszcze.**

LESŁAW LIC: Nie da się zaprzeczyć.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Zanim jeszcze w ogóle się pojawiły te nazwiska, dzisiaj liczące się, jak Trzaskowski i Kurylewicz, Komeda, pan już grał, pan zaczynał u siebie w domu, pan jest rodowitym przemyslaninem.**

LESŁAW LIC: Tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **I jak to się zaczęło?**

LESŁAW LIC: To się zaczęło, że babcia kupiła mi pasterską fujarkę i podówczas jeszcze nie było radia i chodziło się na muzykę. Muzyka to był koncert, tak zwany plac muzyki, grała Orkiestra V Pułku Podhalańskiego na rynku, a na muzykę i to była koncertowa muzyka. Natomiast po południu chodziło się jeszcze, też moi rodzice chodzili ze mną, na Zamek Przemyski i tam obok pamiątkowego kamienia grał zespół klezmerów żydowskich, trzech panów. Ja sobie wziąłem tą fujarkę, no i oni w grali, i ja to się tak podłączałem, ale że to miało sens, tak że ten szept tych klezmerów był: "Oj, to z niego będzie klezmer, oj, to z niego będzie klezmer". No ale tam po prostu na drugie głosy kombinowałem coś tam. No ale w międzyczasie stało się, że zaczęło być modne radio. Babunia kupiła radio też, sąsiedzi się schodzili wówczas na radio, tak jak później na telewizję, towarzyskie zgromadzenia, no i tam pan Kiepura śpiewał "Ninon, ach uśmiechnij się", dlaczego o tym mówię? Bo w domu był także stary fortepian, cokolwiek rozstrojony, wie pan, fortepian to był taki przedmiot, który trzymały tzw. lepsze domy, żeby ewentualnie w sprawie

jakieś było co zastawić. To był jakiś taki symbol pewnej klasy, proszę sobie wyobrazić, że jak już przyszło radio, no to zmniejszyła się publiczność na koncertach, zmniejszyła się publiczność na zamku, bo jak się tam sąsiedzi pytali: "A czy państwo idą na muzykę?", "Ach nie, my już mamy radio". Z tym, że wtedy fortepian się przydał, że ja sobie naprzód jednym palcem na tych klawiszach, po raz pierwszy w życiu bo miałem wtedy 6 lat, wystukałem to "Ninon, ach uśmiechnij się", ale czułem, że tam coś więcej jest, skombinowałem do tego lewą rękę, akompaniament. Wywołało to ogólne zdumienie, bo ani tatuś nie potrafił, ani mamusia nie potrafiła, ani nikt nie potrafił, tylko ja potrafiłem zrobić akompaniament, z tym że ja chciałem zaznaczyć, że rodzina była absolutnie antymuzykalna, tak można powiedzieć. Ogólny podziw, w związku z tym od nowego roku trzeba go uczyć, bo to może będzie jego chleb. No i chociaż to było w rodzinie uznane, że to jest żaden chleb dla mężczyzny, muzyka w ogóle, zaczęto mnie uczyć, następny rok przenieśliem się do innej pani, która mówiła, że to cały rok jest stracony, bo to lepiej, żeby mama sobie dywan kupiła, aniżeli do takiej nauczycielki, no a ta nauczycielka przypadkiem była najlepsza z wszystkich moich pedagogów. Potem jeszcze rok, później już absolutny zakaz. To, co ja sobie grywałem, to jakieś tam różne, to, co usłyszałem w radiu, nazywało się podówczas jazzem. Orkiestrę i muzyków angażowało się do koncertów i do jazzu. Jazz to był także tango, slow-fox, to była po prostu muzyka taneczna i z tym, że wówczas wcale tam nie brakowało jakichś całkiem niezłe improwizujących muzyków. Można powiedzieć, że to przyszło po I wojnie światowej. Ludzie powracali z Zachodu, amerykańska muzyka, amerykańscy żołnierze itd. Potem przyszła wojna, na szczęście nie musiałem się specjalnie uczyć Jana Sebastiana ani Wolfganga Amadeusza, chociaż stali się moimi lubianymi kompozytorami. Z tym że po wojnie zjawia się postać, bo w Przemyślu była, nie wiem, czy pan wie, bardzo wysoko ceniona szkoła organistowska i na jej czele stał duchowny, który miał bodajże 4 doktoraty z muzyki. W Warszawie z dyrygentury, organy, fortepian i coś jeszcze. On mnie spostrzegł, bo zacząłem przychodzić na chór i sobie podgrywałem na organach troszeczkę. Rozmawialiśmy o muzyce i warto zaznaczyć, że jego cela to była po prostu: łóżko, krucyfiks i szafka, a reszta to były półki z tzw. "Taschen-Partituren", czyli partytury kieszonkowe, właśnie to on był tym dyrektorem szkoły organistowskiej, tylko były właściwie jego materiały, z których uczył. Ja wtedy zacząłem na klarnecie trochę grać. Raz wziął mnie do siebie i mówi: "Widzisz, przywiozłem z Krakowa taką płytę, wiesz, to jest taka muzyka, jakby...", on mniej więcej był jakby tak troszkę stremowany, mniej więcej tak, kiedy wypadnie duchownemu mówić o jakichś sprawach seksualnych prawie, a to się łączyło, mówi: "Wiesz co, jest taka muzyka, ale wiesz co, posłuchaj" i posłuchałem po raz pierwszy Luisa Armstronga.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No to z górnej półki widzę.**

LESŁAW LIC: Proszę?

JACEK WRÓBLEWSKI: **Z bardzo wysokiej półki, widzę, pan zaczynał.**

LESŁAW LIC: No ja nie zaczynałem, tylko jakoś życie to spowodowało, że posłuchałem i całkiem mi się to spodobało. Duchowny to uzupełnił, mówi: "No wiesz, różnie o tej muzyce mówią, ale to jest niewątpliwie muzyka dobra". Potem jeszcze jakiś rok, dwa i przeniósłem się do Krakowa. Poszedłem na studia, ale nie na studia muzyczne, to znaczy, ponieważ ojciec wykładał historię w gimnazjum przemyskim, wypadło, żeby syn wziął po nim, że tak powiem to kiedyś, więc poszedłem na historię, ale oprócz tego poszedłem do szkoły muzycznej w Krakowie, na klarnet, lecz w zasadzie poszedłem na fortepian, a klarnet dodatkowy, ale jakoś na klarnecie zaczęło mi jakoś lepiej iść w ogóle. Wtedy jeszcze nie było Akademii Muzycznej, tylko była Wyższa Szkoła Muzyczna, która miała tylko: fortepian, kompozycje, skrzypce i to wszystko właśnie. Przyszła władza ludowa i mówiła, że potrzeba jakieś instrumenty proletariackie, no to cóż lepszego, jak nie klarnet, więc ja byłem jednym z pierwszych studentów. Łączyło się to z różnymi sprawami takimi, w pewnym sensie śmiesznymi, tam też zjawił się Kurylewicz, który był z kolei na fortepian. Myśmy się tak poznali, że tak powiem, ja sobie siedziałem tam w wolnej klasie i grałem na klarnecie, troszkę improwizowałem. Otworzyły się drzwi, wszedł Andrzej Kurylewicz i zaczęliśmy sobie grać. Z kolei tu już wchodzi poważne czynniki, mianowicie że był zakaz grania na imprezie muzyki amerykańskiej, jazzu, bo niby w Ameryce Murzynów biją. No więc co z tym fantem zrobić? Towarzysze się tam troszkę zastanawiali, ale tak jak mówię, w radiu początkowo, jeszcze przed nami, grał taki kwartet, niby nie jazzowy, ale tam grali bardzo dobrzy jazzmani. Na dzisiejsze, nie wiem, czy panu coś da, niewątpliwie jako człowiekowi młodemu, takie nazwisko jakie Kazimierz Turewicz.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Oczywiście.**

LESŁAW LIC: No więc właśnie, on był szefem tego kwartetu, czasami robili jakieś kombinacje, ale improwizacje się sypały całkiem niezłe, tam był tak samo pianista, Stanisław [dźwięk niewyraźny], nie wiem, czy coś panu to mówi.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tak.**

LESŁAW LIC: Proszę?

JACEK WRÓBLEWSKI: **Oczywiście, tak.**

LESŁAW LIC: Więc [dźwięk niewyraźny], Turewicz, pozostałych nie pamiętam, była tylko czwórka. W tym, że to się akurat rozwiązało, nie wiem tych wszystkich rzeczy. Radio, dyrektor radia, wziął mnie, Kurylewicza, jeszcze kogoś i zaproponował stworzenie zespołu. Powstał początkowo sekstet organowy. Jeszcze rozgłośnia radiowa w Krakowie dostała z Zachodu, z któregoś kina organy

kinowe. Te organy były drogie straszliwie, nie było taśm, magnetofonów, to są te czasy właśnie. Puszczano nieme filmy, za organami siadał sobie pan i miał zapisane poszczególne rzeczy i tylko wciskał, jak burza, no to miał burzę, wojna, no to wojna, dzwony były piękne. Właśnie do tego sekstetu organowego zostaliśmy zaproszeni, zaproszona została także Wanda Warska, to już coś panu na pewno mówi.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No niestety niedawno od nas odeszła.**

LESŁAW LIC: No, niestety odeszła. Z tym że mieliśmy delikatne błogosławieństwo z komitetu wojewódzkiego, że można grać francuski, włoski, amerykański nie, chyba że coś pokombinujecie z tytułem. Tam grał także jakiś czas, jeśli się nie mylę, Drażek Kalwiński.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tak.**

LESŁAW LIC: Nie wiem, czy to coś mówi.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tak, tak, oczywiście, cały ten sekstet, dziś przypisywany jest do Andrzeja Kurylewicza.**

LESŁAW LIC: Tak, tak, bo on grał na fortepianie z Wandą Warską, no ja klarnet i organy kinowe, w tym że one się w okolicznościach osobliwych spaliły. Później już jak nagrywaliśmy na tych organach, przedtem zaczęła dyrekcja radiowa robić koncerty w studiu.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tak.**

LESŁAW LIC: Przy ogromnej popularności i dużej ilości publiczności. Tam też Wanda zaczęła śpiewać. Po jakimś czasie zjawily się pieniądze, ponieważ na sztuce wówczas nie wolno było zarabiać, więc dyrekcja radiowa wpadła na pomysł, że trzeba wyremontować organy i wysłali na zachód te organy, ale na zachód Polski, bo dalej to nie. Jak wróciły, to były gorsze, aniżeli przed remontem. Ja się zorientowałem, że nie wolno grać za głośno na nich, bo jak się pociśnie, to coś tam zaczyna grzać. Ale było nagranie, przyszedł kompozytor, coś mu było za mało i mówi: "A to ja tam dogram". No to myśmy poszli na dół, on został na górze i puścił tzw. "pleno" na organach i zaczęła płynąć płonąca roztopiona miedź.

JACEK WRÓBLEWSKI: **O mój Boże.**

LESŁAW LIC: Zaczęło się po prostu palić, jednocześnie zdarzyło się, że w hucie były rozruchy robotnicze, jeszcze "Solidarność" nie, ale tam o coś poszło. Było wystawianie, brygada spadochroniarzy, wszystko, cała безпеka, jaka była do dyspozycji, była na ulicy. Nie należało wychodzić, zatrzymywali, rewidowali. A tu nagle pokazuje się pożar w rozgłośni, myśmy nie wiedzieli, że tam nam się pali na górze, patrzę, wpadają spadochroniarze, "Ręce do góry! Na ścianę". Cuda się działy, ugasili ogień, ale organy się spaliły, szkoda bo do dzisiejszego dnia to byłby zabytek wielki.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No ciekawe.**

LESŁAW LIC: Proszę?

JACEK WRÓBLEWSKI: **Szkoda, ale przynajmniej z przygodami widzę się panu to zdarzało.**

LESŁAW LIC: Proszę?

JACEK WRÓBLEWSKI: **Z przygodami, słyszę, pan grywał.**

LESŁAW LIC: Potem z Kurylewiczem i jeszcze nie z Wandą, a taką też śpiewaczką, mieliśmy występ dla młodzieży i nie przyszedł konferansjer, nie wiem dlaczego. Delegat ze szkoły mówi: "No to idźcie tam to zapowiedzcie", więc ja zapowiedziałem, tzn. opowiedziałem właśnie, że w Ameryce biją czarnych. W związku z tym my zagramy, nazwałem to: "fantazje na tematy Gershwin'a" z Andrzejem Kurylewiczem, chyba to było niezłe nawet, bo marynarki fruwały, co to się nie działo, Boże ty mój, nigdy na żadnym festiwalu jazzowym tego nie było. Ale teraz jak to przyjmie szkoła, więc na drugi dzień wzywa nas rektor i mówi tak: "Towarzysze, zrobiliście kupę roboty politycznej. Dziękuję wam", a myśmy się spodziewali, że nas właśnie wyrzucą. "Dziękuję wam i przyjdźcie jutro jeszcze, przyjdą plastycy, będą was malować do szkolnej galerii przodowników pracy". Panie redaktorze, właśnie mój konterfekt i Andrzej, śpiewaczka śpiewała to "Summertime", okazało się, że nazwy tylko odpowiednio dało.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Czyli został pan przodownikiem pracy.**

LESŁAW LIC: Proszę?

JACEK WRÓBLEWSKI: **Został pan przodownikiem pracy.**

LESŁAW LIC: A jakżeż, tak! Potem nie wiem, skąd się "Dudek" zjawił Matuszkiewicz, Melomani, no te dwa składy to już pan wie.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, Hot Club Melomani.**

LESŁAW LIC: Proszę?

JACEK WRÓBLEWSKI: **Hot Club Melomani, to jest pański udział również.**

LESŁAW LIC: Hot Club Melomani, tak, tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **To już bardzo poważna kapela była.**

LESŁAW LIC: Myśmy grali na tym pierwszym festiwalu w Sopocie, na tym pochodzie, też mam jakieś zdjęcie z festiwalu. Potem to szło wszystko. Tyrmand nasz, że tak powiem, duchowy opiekun. Nie wiem kto wymyślił hasło: "Jazz and press", to się strasznie spodobało Tyrmandowi. Nie wiem, czy to by w ogóle pana interesowało, ale ja byłem, że tak powiem współautorem zapoznania Tyrmanda, bo on pisał właśnie "Złego". Myśmy wtedy zaczęli grać, nie wiem, czy to z "Dudkiem" już było, czy jeszcze samodzielnie. Były zasięgi, chyba to było w domu kolejarza, kamienica i tam 2 tysiące ludzi do piwnicy wchodziło, takiej dużej.

JACEK WRÓBLEWSKI: **W Krakowie oczywiście?**

LESŁAW LIC: Nie, to już w Warszawie.

JACEK WRÓBLEWSKI: **W Warszawie, mhm.**

LESŁAW LIC: To już w Warszawie było to Ministerstwo Komunikacji chyba, właśnie nie pamiętam, rządził podobnież Atom właśnie. Z tym się polubiliśmy. Piło się wódkę z filiżanki, bo nie było kieliszków, ten Atom, na pewno pan wie, że w Warszawie były turnieje jazzu.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Były, zgadza się.**

LESŁAW LIC: Po jednym turnieju poszedłem sobie gdzieś do przystanku, to już było koło dwunastej w nocy. Stałem sobie, czekam, może tramwaj do centrum, bo jakoś ludzie się tak rozeszli. Patrzę, stoi koło mnie taki pan w cyklistówce i mówi do mnie: "Czekasz pan na taksówkę?", ja mówię: "No może coś tam podjedzie", mówi: "Czekaj pan". Patrzymy, jedzie taxi zajęte, on wyciąga rękę, taksówkarz się zatrzymuje i ten mój opiekun mówi: "Jasiu, gdzie jedziesz?", a on mówi: "Z gościem na Pragę". Teraz się zwraca do tego pana bardzo eleganckiego z jakąś taką dyplomatką z czymś i mówi: "Wysiadaj pan", a on: "Bardzo przepraszam, a dlaczego ja mam wysiadać?", a ten kierowca się odwraca i mówi: "Ja panu radzę, żeby pan wysiadł". Jeszcze mój opiekun mówi: "Płać pan i wysiadaj pan", i mówi do mnie: "Proszę bardzo". Wsiadłem i tak sobie już myślę, on wsiadł koło tego Jasia kierowcy i ja już sobie układam, myślę sobie, jednemu może dałbym radę, ale dwóch, a tam na pewno gdzieś było paru kolesi. No to jak mnie zabiorą, to ułożę sobie przemówienie, powiem im, że im dam to, co będzie w przyszłą niedzielę. Tylko żeby mi klarnet zostawili i tak im się opłaca, nie zabija się kurki, która znosi jajka. Ale zanim ja zdążyłem sobie to dobrze wymyślić, patrzę, neon "Warszawa Główna", podjeżdża i Atom mówi: "Jasiu, od tego pana nic nie weźmiesz, to jest artysta, gościem jest w stolicy". Nie pięknie?

JACEK WRÓBLEWSKI: **No to piękne czasy i piękne traktowanie.**

LESŁAW LIC: I od tego czasu właśnie on przychodził, znaczy tak, jak jego nie było, to bywało, że się tam bili. Był taki drugi po nim mocny, który podchodził do tańczącej pary i dawał tancerzowi w twarz i szedł dalej. Jak on przychodził, to był spokój, z kolei tego właśnie, co dawał w twarz, podszedł do niego i ja mu dam w twarz, popukał się w czoło i zaraz nastąpił spokój. Myśmy mieli to pięknie organizowane przez jakiegoś pana, już nie pamiętam dokładnie, ale zapamiętałem zegarek, z czterema brylantami, który na ręce miał. Myśmy wyjeżdżali po południu samolotem do stolicy, graliśmy noc, graliśmy poranek, potem dla młodzieży, graliśmy popołudniówkę. On nam wszystko załatwiał, zresztą genialny ten organizator. Potem do Krakowa i już siedziałem sobie rano w filharmonii i wyspany grałem Wolfganga Amadeusza, czy tam to co było w repertuarze harmonicznym.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie, a gdzie się grywało w Krakowie?**

LESŁAW LIC: W Krakowie, grywało się przede wszystkim była taka szkoła, właśnie jazzowa. Właśnie, gdzie?

JACEK WRÓBLEWSKI: **Czy może przy Świętej Jadwigi?**

LESŁAW LIC: O, Królowej Jadwigi, tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tak, Królowej Jadwigi.**

LESŁAW LIC: To dało się rozpoznać, bo jak się dochodziło, to gęste kłęby dymu waliły z drzwi, okien, to znaczyło, że koncert jest, prawda, bo tam palili wszyscy. Poza tym grywało się właśnie, a wie pan, taki, który się nazywał Jerzy Borowiec.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Aha.**

LESŁAW LIC: Czy to panu coś mówi?

JACEK WRÓBLEWSKI: **A słucham, słucham, to ciekawe.**

LESŁAW LIC: To był syn krakowskiego artysty, fotografika. Myśmy chodzili na klarnet do takiego starego muzyka, który grał jeszcze w carskiej białej flocie. Tenże właśnie Jerzy Borowiec, coś tam im nie szło granie, przerwał i tak patrzy, mówi do profesora te słowa: "Panie profesorze, czy pan zdaje sobie z tego sprawę, że ja jestem sakramencko zdolny?". Poza tym on był pierwszy, który grał na leżąco rock and rolla w Krakowie. Graliśmy z nim piękny bal w towarzystwie muzycznym.

JACEK WRÓBLEWSKI: **To były czasy, że przy każdym właściwie, przy każdej uczelni była jakaś orkiestra albo jakiś zespół artystyczny.**

LESŁAW LIC: To rozmaicie bywało, na przykład jednemu z moich kolegów zakazał profesor grania na gitarze, jako niezgodnego z honorem inżynierskim.

JACEK WRÓBLEWSKI: **To aż tak bywało, widzę. A czy w takim razie bywali państwo**

również w Piwnicy pod Baranami w późniejszym okresie?

LESŁAW LIC: Oczywiście, z tym że to już są późniejsze sprawy, no ale grywało się tam.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Z tego co wiem, to najwięcej grywało się jednak chyba po mieszkaniach prywatnych.**

LESŁAW LIC: No tak, tak. To w tym pierwszym okresie właściwie nie było gdzie, dopóki się po prostu, że tak powiem, uspokoiło, dopóki nie powstał ten zespół organowy i tak dalej, i tak dalej.

JACEK WRÓBLEWSKI: **A właśnie, już mówiąc o zespole organowym, o pańskim w ogóle muzycznym życiorysie przy Andrzeju Kurylewiczu. Wspomina pan, że nagle się pojawiły pieniądze, rozumiem, że w tym momencie już zakończył pan swoją przygodę z historią.**

LESŁAW LIC: Jaką przygodę?

JACEK WRÓBLEWSKI: **Przygodę z historią, jako student na Wydziale Historii.**

LESŁAW LIC: Nie, skończyłem.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Skończył pan?**

LESŁAW LIC: Tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Dawało się pogodzić naukę z graniem?**

LESŁAW LIC: Jakby to powiedzieć, jakoś się dało.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Po prostu trzeba było, rozumiem.**

LESŁAW LIC: Wie pan, ja lubię jak coś zacznę, to muszę skończyć.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Jasne.**

LESŁAW LIC: Jeszcze zostało tam tych parę egzaminów, ale na historii już wiedzieli, że miałem swoją sławę jako muzyk i właściwie no kto wie, czy nie na zasadzie, jakiegoś takiego, wie pan, przepuszczenia, że to z niego i tak historyk nie będzie.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No ale został z pana muzyk?**

LESŁAW LIC: Wie pan, tak, został, no i cóż, potem były takie różne dziwne sprawy, był konkurs instrumentów dętych.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tak.**

LESŁAW LIC: W Warszawie, a to z jazzem nie miało nic wspólnego, ale to było mocno niemiłe.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Bo widzi pan, dzisiaj bardzo wielu ludzi, takich jak na przykład pan Leszek Żądło, jak pan Piotr Baron, wszyscy wspominają jednak również pańskie dokonania edukacyjne.**

LESŁAW LIC: A no, Leszek Żądło, tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Zresztą Leszek Żądło bywa w Krakowie regularnie.**

LESŁAW LIC: Tak.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Inni wspominają pana wszystkie zapisy nutowe do nauki gry na fortepianie, więc to, że tak powiem, nie jest, że pan odszedł czy zniknął, bo jednak pana nazwisko ciągle się liczy.**

LESŁAW LIC: No, już się raczej nie liczy, bo co się ma liczyć.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Wspominają pana muzycy, że jednak od pana się uczyli.**

LESŁAW LIC: No tak, no bo ja tam parę publikacji miałem, jakieś, wie pan, chciało mi się robić wtedy. Ale to był czas, kiedy ostatecznie wtedy też się ożeniłem, były pierwsze dzieci. Dziś jestem pradziadkiem sześciorga prawnucząt.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Gratulacje!**

LESŁAW LIC: Dziękuję bardzo, ale wie pan, z tym że pięcioro jest zagranicą.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No ale rozumiem, że wszyscy utrzymują z panem kontakt. Bo jeszcze wracając właśnie na chwilę do Krakowa, do Kurylewicza, do tego okresu połowy lat 50. Wtedy była taka gwałtowna zmiana, w Polsce nagle skończył się stalinizm, zaczęła się odwilż. Czy pamięta pan, jak to wyglądało dla pana jako człowieka, który wtedy się uczył, grał?**

LESŁAW LIC: Wie pan, do tego dochodzi jeszcze to, że ja grałem także w jamie Michalika, w kabarecie.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tak?**

LESŁAW LIC: To jest ten kabaret, który powstał na miejscu tego, który się zaczął w 1900 roku. Tam zaczęły właśnie chodzić takie niechętnie widziane przez cenzury sprawy. Tak, że tam bilety się zamawiało, mnie to było o tyle wygodne, że kończył się koncert w filharmonii, to ja leciałem do Michalika i aktorzy też, o dziesiątej zaczynał się spektakl. Właśnie w tym Michaliku to ja byłem trzydzieści lat.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No tak, ma pan chyba najdłuższy staż.**

LESŁAW LIC: No to tak, bo w filharmonii dwadzieścia pięć, z tym że tam byłem jako klarnet, a tu jako pianista. Plus jakieś chałtury potem jeszcze, jakieś cztery lata w Niemczech grałem.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No tak jak wszyscy, każdy gdzieś musiał coś znaleźć za chlebem.**

LESŁAW LIC: Nie no, to ja przeszedłem już wtedy na emeryturę, jako emerytowany byłem tam w Niemczech, bo bardzo sympatycznie tam było, trzeba powiedzieć i pograłem sobie.

JACEK WRÓBLEWSKI: **A czy teraz zdarza się panu jeszcze, że do fortepianu pan sobie siądzie, coś popróbuje?**

LESŁAW LIC: No już teraz, wie pan, nie.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Już nie.**

LESŁAW LIC: Znaczy, wie pan.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Tak dla samego siebie, po prostu.**

LESŁAW LIC: Fortepian w tej chwili służy za półkę, znaczy nie, pianino było, fortepian za duży był.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No tak.**

LESŁAW LIC: No a teraz to w ogóle już jest tak. To mi się przypomniało, jeszcze w czasach początku Kurylewicza było tak, że on mieszkał parę kroków ode mnie. Były imieniny właśnie z racji Michalika i moje, no i proszę pana, u mnie się to zdarzało, tam w bloku, dotychczas tam mieszkam, zaszedł Kurylewicz do fortepianu, ja wziąłem klarnet i zaczęliśmy sobie grać różne historyjki. Ale to była godzina już druga w nocy i pamiętam, że znakomity jeden autor spał w wannie, ale pustej wannie, już myślę sobie lada chwila zaczął pukać, co to się dzieje. Otworzyłem drzwi od balkonu i patrzę, a na balkonach ludzie powynosili krzesła, posiadali sobie i słuchali muzyki.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No to piękne wspomnienie, czyli był pan jednak doceniany. Miłe to wszystko jakieś było.**

LESŁAW LIC: No wie pan, jeśli się wspomina tylko miłe czasy, no to są miłe. Dokończyłem w

zasadzie w ten sposób, że w Krakowie jest stowarzyszenie, które zajmuje się filmami niemymi. Oni od czasu do czasu robią takie pokazy i ja w rocznicę swoich właściwie dziewięćdziesiątych urodzin zagrałem tam trzy ilustracje do filmów Charlie Chaplina.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No proszę.**

LESŁAW LIC: No i na tym się już chyba historia skończyła. No i dobrze, Boże mój, o coś chodzi.

JACEK WRÓBLEWSKI: **No nic, najważniejsze, panie Lesławie, aby zdrowie dopisywało ciągle.**

LESŁAW LIC: Wie pan, że ono ciągle nie dopisuje raczej.

JACEK WRÓBLEWSKI: **Ale trzyma się pan.**

LESŁAW LIC: Przypomniało mi się, jeśli można coś dodać, bo byłem dobierany do orkiestry Żydowskiego Teatru, który czasami przyjeżdżał do Krakowa. A w Krakowie, to jak w Krakowie, to jest długa historia, nie ma co opowiadać. W każdym razie była tam pani pianistka, z Warszawy przyjeżdżała tylko pianistka i skrzypek, "szytygar" tak zwany, ona przychodziła, siadała przy fortepianie i pierwsze co mówiła to było: "Och! Jaka ja chora". No to wszyscy: "No to co pani jest, co pani brakuje?", a ona mówiła: "Co mnie nie jest".

JACEK WRÓBLEWSKI: **Jasne, jasne, bardzo pięknie. Panie Lesławie, ale no cóż, no ja panu na pewno bardzo dziękuję w tej chwili, bo opowiada pan naprawdę ładne te wspomnienia z dawnych czasów. Poza tym mam nadzieję, że będzie pan jeszcze długo, długo się trzymał i mógł wspominać. Aby to zdrowie dopisywało, tak to powiem, bo to najważniejsze, w tej chwili wszyscy się wysypują. Powiem panu tak, poszukując w ogóle ludzi, którzy grali tą muzykę w latach 50., no naprawdę bardzo niewielu już znalazłem, większość niestety już odeszła. No a ci, którzy zostali, większość już albo nie pamięta, albo są w bardzo ciężkim nieraz stanie. Więc staramy się to, wie pan, skleić tak dla potomności, po prostu żeby w ogóle coś z tego zostało. I tutaj powiem nieocenione pańskie opowieści są w tym momencie. Naszym gościem był Lesław Lic.**

[fragment utworu "Darktown Strutter's Ball (Live)" – Ensemble: Hot Club Melomani Orchestra:

Spree City Stompers Composer: Shelton Brooks]